Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.



WOLA i CZYN

CZASOPISMO SPOŁECZNO POLITYCZNE

Wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca

Rok II. **Lwów, dnia 20 czerwca 1938 r.** **Nr. 12.**

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Kopernika 42a, tel. 242-86. Konto P. K. O. Nr. 508250

Praca kulturalna w Małopolsce Wschodniej

Odrębne określenie kierunku pracy kulturalnej dla Małopolski Wchodniej jest uzasadnione właściwościami tego obszaru. Jest to obszar kresowy. Józef Piłsudski powiedział 13. IX. 1919 w Suwałkach: „Są w życiu narodów i państw zmagania, które nigdy nie ustają. Polskę na równi z innymi narodami oczekuje walka we wszechświatowych zapasach o pierwszeństwo w dziedzinie organizacji i kultury. Sprostać w tej walce najciężej jest tym, którzy są na kresach. Na kresy bowiem spada najcięższy obowiązek reprezentowania kultury narodu... Polska musi mieć tryumfy i w tej pokojowej walce. Zdać musimy wielki egzamin, by się nie dać ubiec w tym kulturalnym wyścigu".

Kultura więc na ziemi kresowej — to nie wonny kwiat, to nie bodziec wzruszeń estetycznych i produkt, sprzedawany przez pięknoduchów snobom. To instrument walki. T utrwalanie owoców zwycięstwa orę nego. To nie zbytek, lecz powinno ć i służba. To także sztuka, ale sztuka stosowana i poświęcona najwyższym celom polityczym narodu.

Małopolska Wschod. jest ziemią kresową. Niech nam wolno będzie raz jeszcze powołać się na słowa Marsz. Piłsudskiego: „Co to są kresy? Kresy, to zetknięcie się jednego narodu z innym, jednej kultury z drugą, jednego wychowania z innym". — Zetknięcie to przynosi okresy symbiozy i okresy walki. O Małopolsce Wschodniej — bez popadania w pesyzmizm — można powiedzieć, że prawem jej życia jest walka. Bez względu na próby normalizacyjne i zawieszenie broni formalna walka jest tutaj dziejową koniecznością. Jak nie wyobrażamy sobie, aby Polacy tutaj mogli kiedykolwiek zrezygnować z suwerenności i państwowej jedności z Polską, aby zawiesili walkę o ponowne zjednoczenie także wówczas, gdyby jakaś katastrofa miała ich odłączyć od Państwa, tak samo żaden Ukrainiec nie wyrzeknie się dążenia do celu, który uznał za swój narodowy ideał. Gdy nie może inaczej, stara się nieprzerwanie zbliżać do niego tymi drogami, które ma otwarte: organizacją życia społecznego, działalnością gospodarczą, pracą kulturalną.

A nie są to namiastki, lecz potężne środki polityczne. Zdarza się, że po przegranej wojnie dają one zwycięstwo przez pokój. Zawsze i bez wyjątku są przygotowaniem korzystniejszych warunków na wypadek prowadzenia nowej wojny. Wielka i podziwu godna energia, z jaką Ukraińcy oddają się tej — jak ją nazywają — konstruktywnej pracy, nie pozwala, abyśmy my mogli pozwolić sobie na jej lekceważenie dlatego, ponieważ nasz żołnierz czuwa nad całością granic i nasz policjant nad bezpieczeństwem wewnętrznym.

Są to twierdzenia oczywiste. W Polsce one właśnie należą do tych, o których najłatwiej się zapomina. Usypia nas świadomość, że w stosunku sił między państwowym narodem polskim a obywatelami narodowości ukraińskiej przewaga absolutna jest po naszej stronie. Ale zapominamy, że po tamtej stronie Zbrucza tworzy się siła, która kiedyś tę przewagę może obrócić na swoje dobro. Usypia nas również świadomość, że nie trzeba walczyć, ponieważ wyższość kultury polskiej nad ukraińską jest zupełna, zwycięstwo tej naszej kultury w każdym starciu musi być niejako automatyczne samym ciężarem masy, samą jasnością gatunkową.

Ta wyższość gatunkowa niewątpliwie istnieje i mimo wyścigu, podjętego przez Ukraińców, długo utrzyma się. Nie tylko dlatego, że my bardziej korzystamy z pomocy i opieki własnego Państwa. Ta opieka w niektórych dziedzinach kultury jest zresztą błogosławieństwem względnym. Ważniejszym czynnikiem jest tu raczej nasz łatwy i bezpośredni kontakt z cywilizacją zachodnią, podczas gdy Ukraińcy szukają tego kontaktu drogą okrężną, poprzez wyschnięte źródła kultury bizantyńskiej. Ale jakże to wytłomaczyć, że mimo gatunkowej przewagi w starciu tak często stroną przegrywającą bywamy my? Że w Polsce niepodległej są chłopi polscy, którzy zapominają języka polskiego i ukrainizują się? Że zamiast podbijać i zniewalać, przyciągnąć i olśniewać, sami tracimy i w walce najchętniej przybieramy postawę obronną, lub oskarżamy Państwo, że nie dość broni i osłania nas, tracących tu swój stan posiadania.

Powód tego parodoksu, że silniejszy okazuje się słabszym, jest prosty. O wartości kultury decyduje mniej jej wyższość gatunkowa, a bardziej jej powszechność i jej dynamizm. Cóż stąd, że mamy świetniejsze pomniki literatury, jeżeli są wsie, do których nie docierają ani one, ani znacznie skromniejsi ambasadorzy ducha polskiego? Cóż stąd, że stołeczne sceny szczycą się gwiazdami miary światowej, jeśli są miasteczka, w których jedynym gościem na scenie jest objazdowy teatr ukraiński, wystawiający „Zaporożca za Dunajem" lub „Oj ne chody Hryciu"? Co stąd, że my mamy Akademię Literatury, skoro ich popularne periodyki ludowe zalewają rynek? Cóż stąd, że mamy w skarbcu złote sztaby, skoro ich obiegowa moneta, niewątpliwie lichsza i prymitywniejsza, idzie z rąk do rąk, jest w nieprzerwanym ruchu, no i przy tym stale podnosi swą wartość?

Ukraiński dynamizm kulturalny jest większy. Niekiedy się wydaje, jakbyśmy byli nasyconą i ociężałą burżuazją przy zdobywczym, agresywnym, niestrudzenie czynnym proletariuszu. Jakbyśmy żyli z kapitału, podczas gdy tam powstaje w żywiołowym pędzie nowy, własny kapitał.

Generał Tokarzewski, którego zasługą jest podźwignięcie i sharmonizowanie rytmu polskiego w Małopolsce Wschodniej, wśród wielu wskazań, pozostawił jedno, fundamentalne: zwycięstwo w dziejowych zmaganiach w Małopolsce Wschodniej należeć będzie do tego, kto się okaże lepszym i sprawniejszym. Agresywna postawa wobec Ukraińców jest zbyteczna, jest szkodliwa. Wystarczy, jeśli Polacy postarają się być lepszymi. Wśród elementów tego wyścigu jedno z pierwszych miejsc zajmuje kultura.

Kultura, której celem nie jest narodowe asymilowanie Ukraińców, ale zmuszenie ich do szacunku i do wewnętrznego uznania, że naród, który tę kulturę wydał, nie stał się narodem państwowym i panującym tylko przez kaprys boga wojny. Kultura, która jest nie posągiem, lecz falą i ruchem. Kultura, który uczyni czymś niemożliwym, by Polak wynarodowił się, bo da mu łączność z resztą własnego narodu i dumę, że do niego należy.

Niemoralne jest to, co budzi protest sumienia obywatelskiego. Walka z niemoralnością w życiu publicznem polega przede wszystkim na tworzeniu opinii, która by udział w życiu publicznym jednostek, łamiących moralność, czyniła niemożliwym.

M. S. W.

TRADYCYJNA ROZMOWA

Wiele miejsca poświęcała swego czasu prasa zagraniczna w rozmowie, którą kanclerz Hitler, podczas swego pobytu w Rzymie, odbył z ustępującym ambasadorem R. P. przy Kwirynale, Wysockim. Hitler miał wyrazić głębokie zadowolenie z pomyślnego układu stosunków polsko-niemieckich, oraz zapewnił ambasadora, że jego życzeniem jest kontynuowanie obecnej przyjaźni z rządem Polski.

Zdawałoby się, że rozmowa ta jest szczerym zamanifestowaniem życzliwego stosunku Niemiec do Polski. Jednak siłą faktu cofa się myśl o pięć lat wstecz, kiedy to ambasador Wysocki, jako poseł polski w Berlinie, odwiedził dnia 2 maja 1933 r. kanclerza Rzeszy Hitlera. W rozmowie, w której wówczas uczestniczył minister spraw zagranicznych baron von Neurath, poruszono szereg aktualnych zagadnień politycznych odnoszących się do stosunków polsko-niemieckich. Kanclerz miał, według komunikatu biura Wolffa, podkreślić zdecydowany zamiar rządu niemieckiego utrzymania swego nastawienia i postępowania jak najściślej w ramach istniejących traktatów, oraz wyraził życzenie, aby oba kraje swe wspólne interesy rozpatrywały bez namiętności.

Następnego dnia, tj. 4 maja, prasa angielska, podając wiadomość o rozmowie między posłem Wysockim a kanclerzem Hitlerem, zaopatrywała komunikat w szumne tytuły, jak np.: „Przyrzeczenie Hitlera wobec Polski", „Niemcy obiecują szanować traktaty". „Daily Express" w depeszy własnego korespondenta berlińskiego, podało nawet do komunikatu następujący komentarz: „Spotkanie, które miało być bardzo serdeczne, daje nadzieję, że przyczyni się do zlikwidowania poważnego napięcia między Niemcami a Polską".

Tymczasem, dnia 5 maja, Hitler, podczas rozmowy z korespondentem „Daily Telegraph", znanym publicystą ang. Fraserem, oświadczył: „Nasz los nie jest związany z dalekimi brzegami lub dominiami, lecz z naszymi granicami na Wschodzie".

Fraser w komentarzu stwierdził, że była to aluzja przede wszystkim do korytarza polskiego, który w mniemaniu wszystkich Niemców powinien przestać istnieć.

W jaki więc sposób wytłumaczyć ówczesną rozmowę kanclerza z posłem Wysockim i wywiad z dziennikarzem angielskim, które wzajemnie się wykluczały? „Der Oesterreichische Volkswirth", tygodnik polityczno-gospodarczy, omawiając wówczas stosunek Niemiec do Polski, taką dawał interpretację:

Wobec niepomyślnej sytuacji Niemiec na Zachodzie, pragnął rząd niemiecki odciążyć się na Wschodzie. To tłumaczy, dlaczego Hitler urzędowo uspokoił Polskę co do zamiarów swego rządu. Równocześnie jednak stwierdził kanclerz w wywiadzie z dziennikarzem angielskim, że wzrok Niemiec skierowuje się nie na morze ani na kolonie, lecz na granicę wschodnią. W tym wypadku chodziło kanclerzowi o to, by pozyskać Anglię pod kątem widzenia trudności, na jakie wówczas napotykała Rzesza w Genewie.

Tak więc Hitler w odniesieniu do Polski trzyma się zawsze taktyki dwutorowej. Przedstawicieli naszych zapewnia o pokojowych zamiarach i o sympatii, jaką żywi dla narodu polskiego, na użytek zaś wewnętrzny Niemiec, oraz w rozmowach z korespondentami zagranicznymi, jak to np. miało kiedyś miejsce w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi dziennika „Sunday Express", twierdzi, że „niezależnie od traktatu wersalskiego nie ma nic bardziej nienawistnego dla narodu niemieckiego od sprawy korytarza i problem ten musi być rozwiązany".

Nie można przeto nigdy łudzić się pięknymi słówkami i obietnicami Hitlera. Należy mieć to zawsze na uwadze, że za każdym pokojowym zapewnieniem kanclerza kryje się jakaś nowa niespodzianka na terenie niemieckiej polityki zagranicznej, jak np. w wypadku ostatniej rozmowy w Rzymie, chęć pozyskania Polski dla swoich zaborczych planów, których najbliższym celem miała być częściowa aneksja Czechosłowacji.

———o———

Dr H. J. R.

Pierwszy etap generalnej mobilizacji niemczyzny w Polsce — rozpoczęty

Jungdeutsche Partei für Polen.
Ortsgruppe Lemberg, Lwów, Kochanowskiego 48.

An Pgn. . . . .
Lieber Parteigenosse!
Die neue Lage unserer Ortsgruppe Lemberg verlangt den verstärkten Einsatz eines jeden Parteigenossen.
Auch Du musst jetzt mehr, denn je die Lage der Bewegung und Deiner Ortsgruppe kennen. Desshalb ist Deine Anwesenheit bei der
Mitgliederversammlung
am 29 Mai 1938 um 5 Uhr Nachmittags
von grosser Wichtigkeit. Diese Versammlung soll zu einer Kundgebung jungdeutschen Lebenswillens werden und den Antrieb zu einer Arbeit für unser Volk geben.
Dein Erscheinen ist also Pflicht!
Jungdeutsch Heil!

Pieczątka, podpis nieczytelny.

Niemiecki tekst, który przytaczamy, to dosłowne brzmienie zaproszenia, rozesłanego Niemcom we Lwowie na zebranie członków „Jungdeutsche Partei", na którym zjawienie się wszystkich zaproszonych określone zostało jako obowiązek. Sankcyj karnych wprawdzie Niemcy jeszcze nie mogą stosować, ale po doświadczeniach austriackich i sudeckich Niemcy dobrze już rozumieją, co znaczy słowo „Pflicht". Choć nie jest to pierwsze zebranie Niemców we Lwowie, uznaliśmy za wskazane przytoczyć dosłowne brzmienie oryginału, bo tym razem, w dniu 29 maja o godzinie 5 po południu chodziło o coś nowego, o próbę opanowania życia niemieckiego przez Jungdeutsche Partei, która od pewnego dopiero czasu wdarła się z wielkim tupetem na teren Małopolski, by wytrącić ster z rąk „Rat der Deuschen in Kleinpolen" i ks. Zöcklera.

Jungdeutsche Partei to nie tylko marsz do żłóbka młodych Niemców, pozbawionych dotąd zaszczytów partyjnych i głosu, ale to kadra polityków, która od pierwszej chwili swego działania jasno i zdecydowanie głosi program narodowo socjalistyczny, gdy inne ugrupowania niemieckie, jako starsze, dopiero po wypadkach w Trzeciej Rzeszy, zmieniły swe ideologie i doszlusowały do berlińskiego wyznania wiary pangermańskiej. Myliłby się jednak ten ktoby przypuszczał, że Jungdeutsche Partei pojawia się jako groźny konkurent. O, nie! Zadaniem jej odegranie roli bodźca dla uaktywnienia i uintenzywnienia pracy na rzecz pangermanizmu.

Oczywiście, że są pewne różnice ideowe, że ważne chwilowo są sprawy personalne, że wyścig do żłoba jest dla młodych potężnym impulsem, że i oni chcą dysponować pieniądzmi, płynącymi z wiadomych źródeł, ale wszystkie te różnice są drugorzędne i nieistotne. I Jungdeutsche Partei i Deutsche Vereinigung, czy jak się jeszcze nazywają, otrzymują instrukcje z Berlina, względnie Sztutgartu, centrali gauleitera Bohlego, kierownika Związku Niemców zagranicznych, jedni i drudzy uczestniczą w hitlerowskich manifestacjach w Norymberdze i szkolą swych bojówkarzy w Gdańsku, jedni i drudzy witają się „ukłonem niemieckim", słuchaja tylko radia niemieckiego i niewolniczo przed kimś w prochu się czołgają.

Wbrew temu, co wypisywano w prasie o konkurencji ugrupowań niemieckich, naszym zdaniem walka wśród Niemców jest świetnie wyreżyserowaną grą Goebbelsa. Istnienie jednej partii musiałoby doprowadzić do pewnego skostnienia, nie wywołałaby ona tego zainteresowania jako monopolistyczna, gdyż hasła, które głosi, nie dają się wszak zrealizować natychmiast. Doświadczenie wykazało, że wielu Niemców trzymało się dotąd z dala od polityki. Trzeba więc było drożdży, trzeba było wywołać wrażenie wielkiego ruchu, trzeba było wprawić wszystkich Niemców w trans, dać im do ręki coś realnego, również na dzień dzisiejszy, a tym właśnie jest walka „konkurencyjna" dwu ugrupowań, które de facto są tym samym, formalnie jednak czymś różnym. Od każdego Niemca wymaga się, by opowiedział się za jednymi lub drugimi, czyli w praktyce, by działał. Tu, czy tam, jest obojętne, bo teraz, w przededniu wielkiej kampanii, chodzi raczej o akcję werbunkową, a gdy Berlin uzna, że czas też na dalszą realizację programu, wówczas spełni się „cud sudecki" i jeden będzie polski Henlein, jeden Volk będzie go słuchać i rozkazy jego wypełniać. Na razie jednak, jak długo Henlein niepotrzebny i jak długo akcji bezpośredniej o szerszym zasięgu jeszcze Berlin nie podyktował, pożyteczne jest mieć dwie partie, które samym już swoim istnieniem trzymają w napięciu ogół niemiecki i dostarczają mu aż nadto emocyj najrozmaitszego rodzaju.

Stworzenie silnej Jungdeutsche Partei w Małopolsce Wschodniej, poprzedzone szeregiem zjazdów na prowincji, dowodzi, że Berlin uznał za stosowne wzmocnić propagandę na terenie województw południowo-wschodnich. Propaganda ta była i jest już teraz bardzo silna, na co niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę, łatwo więc sobie wyobrazić, co powinno nastąpić w najbliższym czasie, gdy nowa transza gotówki, wspierana mowami, zjazdami i innymi środkami, teroru nie wyłączając, pojawi się na naszym terenie.

* * *

A gdy w Polsce Niemcy coraz butniej głowę podnoszą, sytuacja mniejszości polskiej w Niemczech staje się z dnia na dzień coraz bardziej tragiczna. Związek Polaków w Niemczech zwrócił się do ministra spraw wewnętrznych Rzeszy dr. Fricka w dniu 2 b. m. z obszernym memoriałem, w którym, powołując się na deklarację z dnia 5 listopada 1937, domaga się spełnienia tego, co wówczas Hitler osobiście delegacji polskiej obiecał. W rzeczywistości bowiem od tego czasu sytuacja Polaków znacznie się pogorszyła.

I tak okazuje się, że szkolnictwo polskie w Niemczech jest zwalczane, rodzice, którzy dzieci posyłają do szkół polskich narażani są na policyjne szykany, na przymusowe bezrobocie, na cofnięcie zasiłków Pomocy Zimowej itd. Na budowę liceum żeńskiego w Raciborzu i licznych szkół nie można od miesięcy uzyskać zgody policji budowlanej. Do szkół w Polsce też dzieci posyłać nie można, bo władze niemieckie nie wydają paszportów na okres dłuższy, niż miesiąc. Maturzyści gimnazjum polskiego otrzymali legitymacje studenckie i zeszyty studiów w kolorze żółtym, podobnie jak studenci żydowscy i w ten sposób postawieni są w obcowaniu i w życiu towarzyskim na tym poziomie, co studenci żydowscy. Przez żółte legitymacje studenci polscy natrafiają na poważne trudności w życiu codziennym.

Równie źle się dzieje Polakom w dziedzinie gospodarczej. Kupcy i spółdzielnie polskie są bojkotowane, urzędników zmusza się do występowania z polskich spółdzielni, urzędowo

prowadzi się propagandę przeciw polskim instytucjom gospodarczym.

Polak, jeśli chce otrzymać jakiekolwiek zajęcie, albo oddać dziecko do rzemiosła, musi zrezygnować z polskości i wstąpić wpierw do niemieckich organizacyj. Polaków zmusza się, aby dzieci ich już w szkole powszechnej wstępowały do organizacyj hitlerowskich, czyli godziły się na wynaradawianie. Utrudnia się polskim dziennikarzom wpis na listę redaktorów, zabrania się w wojsku rozmawiać po polsku nawet poza służbą i z tą samą pasją szykanuje się cywilów, rozmawiających po polsku u siebie w domu. Do akt stanu cywilnego nie wpisuje się imion polskich, ale niemieckie, polskie napisy na kapliczkach przydrożnych i Bożych Mękach usuwa się, polskie nabożeństwa w kościołach likwiduje się, tych, którzy do polskości się przyznają, napada się na ulicy, w bibliotekach polskich towarzystw wciąż się przeprowadza rewizje i zabiera się nawet spis czytelników, abonentów prasy polskiej szykanuje się, itd. itd. Memoriał polski obejmuje 6 stron gęsto zapisanego maszynopisu.

Memoriał ten, rząd berliński odrzucił.

Oburzenie ogarnia, gdy się czyta o gnębieniu Polaków, gdy jednocześnie Niemcy w Polsce rozpierają się coraz butniej, korzystają z wszelakich swobód i, nie zadawalając się rolą mniejszości, podbijają już teraz gospodarczo Poznańskie i Pomorze. Warto też zapamiętać, że Polaków mieszka w Niemczech 1,5 milj., a Niemców w Polsce tylko 741.000. Za to Polacy mają w Niemczech 58 szkół powszechnych (w tym 6 państwowych), kształcących 2000 dzieci, a „pokrzywdzeni" Niemcy w Polsce 579 szkół (w tym 490 państwowych!) dla 50.000 uczniów. Polacy w Rzeszy mają 2 gimnazja i 300 studentów, Niemcy zaś w Polsce 27 gimnazjów z 3250 uczniami. Czasopism Polacy mają w Niemczech 14 o nakładzie ogólnym 21.000 egz., a Niemcy 78 o nakładzie 240.000 egz. Spółdzielni mają Polacy 34, Niemcy zaś tylko na ziemiach zachodnich Polski 856. Tyle chyba wystarczy.

* * *

Ale to wszystko Niemców nie zaspokaja, bo mają oni inne dążenia. Już Rosenberg pisał w „Micie XX stulecia jasno i bez ogródek: „W tym wielkim zmaganiu... Polacy i Czesi muszą być zepchnięci na Wschód, aby ziemię oddać niemieckiemu rolnikowi". Podobne zdanie znajdujemy w „Mein Kampf", mocniej jeszcze zredagowane. Dziś, gdy hitlerowcy są przy władzy, ubierają oni swój „Drang nach Osten" w nowe formy. Otrzymaliśmy właśnie ostatnio „10 Schulungsblatt des Reichsbundes Seegeltung", w której to ulotce opowiada się, że Europa cała, wyjąwszy przybrzeżną Francję i półwyspy, to właściwie tylko Mitteleuropa. Cała Mitteleuropa, czyli kraje o kulturze niemieckiej, stanowią barierę, czyli obszar kwarantanny między wschodnim tj. rosyjskim bolszewizmem, a zachodniobolszewicką czeredą. Zasięg niemczyzny według autora (dr Friedrich Lange) kończy się przy wschodniej granicy Polski i Rumunii, czyli nad granicą Sowietów. Mało tego. „Nur ein Volkstum gibt es, das in allen Staaten Mitteleuropas bodenständig ist: Deutschen.

* * *

Na zakończenie kilka słów o „Ostdeutsches Volksblatt", którym się już przez kilka miesięcy nie zajmowałem. W tym miejscu zwrócę uwagę, że w 17 numerze tygodnik ten ma odwagę głosić apologię brutalnej antypolskiej polityki hakaty w przedwojennym Poznańskim. Współdziałanie tego hitlerowskiego tygodnika z Ukraińcami jest widać dość systematyczne. „Diło" pisze entuzjastycznie o wydawcy niemieckim Bolku, a za to Centrosojuz ogłasza się i nawołuje, by używano tylko mydła jego marki. Z działu inseratowego dowiadujemy się też, że właścicielami Nowego Domu Tekstylnego przy ul. Akademickiej 14 są Niemcy: pp. Franz Melliwa und Hans Niederhoffer. Z polskich firm jedna specjalnymi względami otacza organ hitlerowski. Firma ta równocześnie anonsuje się — w „Słowie Narodowym". Rozpiętość na pozór wielka, w rzeczywistości widocznie żadna.

Osobą ks. dra Zöcklera z rozmysłu obecnie się nie zajęliśmy.

———o———

Swastyka w Sudetach czy bomby nad Pragą?

II.

Plebiscyt, który miał zadecydować o przynależności państwowej Śląska Cieszyńskiego, odbywał się w warunkach dla Czechów jak najbardziej odpowiednich. Decyzją Komisji Plebiscytowej z dn. 2 lutego 1919 została utrzymana dotychczasowa linia demokratyczna, uchwalono też zatrzymanie żandarmerii i policji czeskiej na terenie plebiscytowym. Ludność polska znalazła się pod butem żandarmerii czeskiej i miała „swobodnie" głosować. Na Śląsku, okupowanym przez Czechów grasowały swobodnie bojówki, złożone z byłych żołnierzy, teroryzując ludność polską. Robotników polskich przepisywano na gwałt do czeskich związków zawodowych; oporni zostali nie tylko pozbawieni pracy, ale również groziło im niebezpieczeństwo utraty życia, bo bojówki, grasujące po terenie plebiscytowym, nierzadko operowały granatami ręcznymi.

Plebiscyt odbywał się w chwili dla Polski najcięższej. Odbywał się w czasie marszu wojsk bolszewickich na Warszawę. Polska wszystkie siły musiała skupić na obronę zagrożonej niepodległości. Polska potrzebowała również pomocy z zewnątrz w formie dostaw broni i amunicji, bo przecież w kraju, zdewastowanym długoletnimi wojnami, fabryk broni nie było.

Czesi zrozumieli powagę chwili, ale z pomocą nam nie przyszli. Przeciwnie, prowadząc akcję plebiscytową, mającą na celu oderwanie Śląska Cieszyńskiego od Polski, odmówili równocześnie nie tylko dostaw broni, ale wstrzymywali nawet wszelkie transporty broni i amunicji z państw obcych do Polski napływające. Wstrzymywali również transport wojsk, które zaprzyjaźnione Węgry wysyłały na pomoc Polsce.

Kilkakrotnie po wojnie światowej Benesz „prostował", że rząd czeski nie ponosi żadnej winy za fakt wstrzymania przewozu broni i amunicji, że winni tu są jedynie komuniści czescy. Dowiedzionym jednak faktem jest, że kierownikiem akcji wstrzymania transportów broni był niejaki Hlavka, działacz partii narodowo-socjalistycznej, na której czele stał właśnie Benesz! A jeśli ktoś miałby jeszcze wątpliwości to niech przeczyta sobie książkę lorda d'Abernon a zwłaszcza ten ustęp, który omawia rozmowę autora z Masarykiem. Masaryk był zdania, że dni Polski są policzone. Radził komisji, do której autor należał, nie jechać do Warszawy, bo Warszawa wkrótce zostanie zajęta przez bolszewików, którym lepiej się nie narażać.

W tej opinii Czechów o Polsce jest klucz do całego zagadnienia. Po kupiecku Czesi obliczali, że siły polskie są za szczupłe, by przeciwstawić się armii bolszewickiej, że panami sytuacji wkrótce zostaną bolszewicy, którym lepiej się nie narażać udzielaniem pomocy Polsce. Stanowisko zaiste wygodne i dające Polsce wolną rękę w razie podobnej dla... Czechów sytuacji...

Decyzja Rady ambasadorów z dnia 28. VII. 1920 potwierdza wynik plepiscytu, ustalając stan faktyczny taki, jaki jest do dzisiaj. Rabunek Śląska został usankcjonowany. Czesi przeprowadzają na Śląsku cały szereg zmian, wydają rozporządzenia, mające na celu utrwalenie swojego stanu posiadania. Akcja szła w dwu kierunkach, w kierunku niszczenia polskiego szkolnictwa, polskich organizacyj, polskich instytucyj, przy równoczesnej rozbudowie czeskich placówek kulturalnych, oświatowych i gospodarczych. Lata powojenne niedostatku w Polce wyzyskiwali Czesi w celach propagandowych, twierdząc, na równi z Niemcami, że Polska nie ma żadnej przyszłości przed sobą i że dla Polaków śląskich jedynym wyjściem jest przyłączenie się do wielkiego, mądrego i gospodarnego narodu „czechosłowackiego".

Największą bolączką Polaków, na Śląsku Cieszyńkim zamieszkałych, był brak polskiego szkolnictwa i zabieranie dzieci przymusem do szkół czeskich. Groziło to wynarodowieniem już w następnym pokoleniu. Stosunki domagały się rychłego unormowania w drodze układu między Polską a Czechosłowacją. Układ taki rzeczywiście nastąpił. Art. 13 umowy polsko-czeskiej z r. 1925 zawiera zobowiązanie, że oba rządy nie będą wywierać nacisku na rodziców, by posyłali dzieci do szkół z innym językiem nauczania, niż ich język ojczysty.

Zobowiązanie to nie zostało w zupełności dotrzymane. Oczywiście, nie ze strony polskiej. Polska faktycznie wypełniła ściśle wszystkie punkty zobowiązania. Przykładem niech tu będą kolonie czeskie na Wołyniu, gdzie dzieci mają całkowitą swobodę nauki w języku czeskim, ba, nawet podręczniki szkolne sprowadzają sobie z Pragi bez przeszkód. Tej swobody nie mają dzieci polskie na Śląsku Cieszyńskim. W miejscowości, gdzie jest zaledwie znikomy procent importowanych Czechów zakłada się duże, bogato wyposażone szkoły czeskie, których sale świecą nieraz pustkami a odmawia się poparcia ciasnym i źle wyposażonym szkołom polskim. Rodzicom, pracującym w przedsiębiorstwach czeskich groziło się pozbawieniem pracy za posyłanie dzieci do polskiej szkoły. Szykany w dziedzinie szkolnictwa szły w parze z upośledzeniem ludności polskiej pod względem gospodarczym i politycznym.

———o———

Mistyka białej plamy

(ś) W „Woli i Czynie" skonfiskowano niedawno drugą część reportażu z więzienia. Nawet tytuł nie ocalał, co okazało się tym trudniejsze do zrozumienia, że pierwsza część tego reportażu, pod tym samym tytułem „Reportaż z więzienia" została łaskawie potraktowana przez cenzurę.

Ostatecznie z każdą decyzją można się zgodzić, nawet z niezrozumiałą. Można też machnąć ręką na wszystkie sprawy drastyczne, niepokojące, niecenzuralne, bolesne, tyle przecież jest innych tematów — wystarczy tylko ustosunkować się do życia „pozytywnie" pisać o wiośnie, kwiatach, dzieciach — są to trzy symboliczne tematy, które podobno nie podlegają konfiskatom.

Ale to jest możliwe tylko w jednym wypadku: gdy u dziennikarza i publicysty następuje nie tyle pozytywny stosunek do życia, ile cyniczny. Odpowiednikiem rozumowania staje się wówczas powiedzonko: „gwiżdżę na wszystko", lub „aby żyć, aby dalej, aby Polska nie zginęła". Czasem też odgrywa dużą rolę tchórzostwo: lęk przed „narażaniem się" władzy, ale może najczęściej brak ludzkiego odczuwania spraw najistotniejszych, w zetknięciu z którymi dziennikarz powinien spełniać rolę alarmującego sygnału, że gdzieś jeden człowiek, korzystając z przywilejów swojego urzędu, bezkarnie krzywdzi innego człowieka.

* * *

Wiadomo, że wszędzie, nawet w sprawach najpoważniejszych, zdarzają się często sytuacje paradoksalne, ale wiadomo też, że nigdy paradoks nie daje się tak dotkliwie odczuwać (a już napewno nie jest zabawny), gdy staje się przykrą tragikomedią.

Niedawno dłuższy czas rozmawiałem z wybitnym myślicielem, specjalistą najwyższej klasy w dziedzinie zagadnień socjalnych, profesorem uniwersytetu o sławie naprawdę światowej. Opowiadał mi z rozżaleniem o swojej ostatniej konfiskacie.

— Proszę zwrócić uwagę — mówił — kto mnie konfiskuje, kto mi knebluje usta, mnie — staremu profesorowi, który stoi już nad grobem? Jakiś młody człowiek, podobno magister, który niedawno otrzymał w starostwie posadę. Nie wiem, może to mój uczeń, a jeżeli nie, to napewno którego z moich kolegów. Trudno mi jednak uwierzyć, że ten młody człowiek jest mądrzejszy ode mnie, że on lepiej ode mnie przemyślał problemy, na których ja połamałem zęby, że wreszcie on lepiej rozumie rację stanu, czy inne państwowe interesy, dla których pewne rzeczy powinno się przemilczać.

O sprawach tych rozmawialiśmy godzinę. W końcu profesor powiedział:

— Jest jednak rzeczą najgorszą, że nie oni mają rację. Ja, choć już stary jestem, chętniebym przyjął wyrok skazujący, gdyby mi udowodnili, że kłamię, ale oni nawet nie starają się tego udowodnić.

Te dwa fragmenty rozmowy ze znakomitym profesorem mają chyba dość głęboką wymowę. Można zresztą oceniać je nie koniecznie jednostronnie: jest faktem, że najznakomitszy profesor może nie mieć racji, może się mylić, może do pewnych spraw podchodzić tendencyjnie — to się zdarza, ale tym gorzej, gdy to się zdarza często: traci wówczas tzw. „pozycję", ulega w starciu polemicznym, przestaje być firmą, słowem — sam się likwiduje. Co innego, gdy artykuł ulega konfiskacie: wtenczas sama biała plama nabiera w oczach społeczeństwa znaczenia wyjątkowego, bo konfiskata nawet absurd podnosi do znaczenia wyjątkowego. Autor skonfiskowanego artykułu staje się pewnego rodzaju „męczennikiem", któremu kneblują usta.

Ale w rzeczywistości, co się konfiskuje? Czy zawsze są to sprawy „mogące zaniepokoić ogół publiczny" i „zagrażające porządkowi publicznemu"? Na ten temat możnaby przeprowadzić szeroką dyskusję i jeszcze szerszą polemikę, gdyby ta druga strona chciała się wypowiedzieć rzeczowo i wymienić konkretne argumenty. Ale niestety, nawet tam, gdzie naczelnicy wydziałów bezpieczeństwa są redaktorami gazet, omawia się wszystko z wyjątkiem spraw najistotniejszych. Jedno przecież jest faktem pewnym ponad wszelką wątpliwość: że o sto razy większy „niepokój publiczny" budzi biała plama w gazecie, niż wiadomość mniej lub więcej niecenzuralna, umieszczona wśród dziesiątków depesz z frontów wojen i rewolucyj, wśród alarmujących wiadomości o groźbach nowych wojen, trzęsień ziemi, czy innych kataklizmów.

Nic też dziwnego, że gdy czytelnik — oczywiście ten aktywniej interesujący się życiem politycznym — po otrzymaniu wiadomości o konfiskacie pisma zdąży za pięciokrotnie wyższą opłatą kupić skonfiskowany egzemplarz i zobaczy, że uległa konfiskacie jakaś mizerna plotka partyjna — jest szczerze rozczarowany, że właśnie taka wiadomość została skonfiskowana, na którą nie zwróciłby uwagi.

* * *

Przesadna czułość cenzury wzmogła też czujność społeczeństwa. To wiadomo: jeżeli komu zależy, aby się dowiedzieć, co gdzie zostało skonfiskowane, to przecież zawsze się dowie. Tylko ta naiwniejsza, mniej świadoma rzeczy i mniej „ustosunkowana" część społeczeństwa „leci" jeszcze na białe plamy, okazując przedziwną słabość do wiadomości niecenzuralnych. To jest zjawiskiem niezwykle charakterystycznym: wystarczy, aby nad tytułem gazety był napis: „drugi nakład po konfiskacie", a gazeta napewno będzie miała powodzenie. Napis ten właściwie mówi: „nakład, w którym nie znajdziecie tego, coby wam sprawiło przyjemność". Ale ludzie są sentymentalni, ze wzruszeniem oglądają bodaj miejsce, na którym to „coś" miało być wydrukowane.

O wrażeniu, jakie ogólnie robią konfiskaty, chyba nie trzeba mówić: zawsze tworzy to nastrój defetystyczny. Dlatego też trudno zrozumieć tą szeroką barierę (możnaby też powiedzieć: głęboką przepaść), jaka wytworzyła się między prasą i administracją. Kto tu winien? Czy prasa, która może nie wykazuje dostatecznego poczucia odpowiedzialności, czy zbyt gorliwie traktująca swoje obowiązki administracja? Zdaje się jednak, że o wiele więcej grzechów jest po tej drugiej stronie.

Ale to trzeba powiedzieć otwarcie: byłoby o wiele korzystniej dla jednej i drugiej strony, gdybyśmy wszyscy mogli się swobodniej wygadać, gdyby było mniej tajemnic, które w rzeczywistości już dawno przestały być tajemnicami, gdyby wyjść z tej przerażającej psychozy lęku, paraliżującego każdą śmielszą myśl w kierunku reorganizacji życia. Napewno bliżsi bylibyśmy prawdy i nie tak bardzo przeczuleni na punkcie pewnych istotnie niepokojących spraw, których publikowanie nie tylko mogłoby wywołać „niepokój publiczny", ale powinno budzić niepokój najszczerszy, najbardziej powszechny.

———o———

„Burza w szklance wody sodowej"

W ostatnich tygodniach pewne zainteresowanie w społeczeństwie lwowskim wywołała kwestia obsadzenia letnich budek z wodą sodową przez kombatantów i ich rodziny.

Ponieważ sprawa ta znalazła swój oddźwięk w prasie, gdzie mylnie i tendencyjnie naświetlono rolę Zarządu Okręgu Związku Legionistów Pol. we Lwowie w rozwiązaniu tego zagadnienia, przeto Redakcja nasza pozwala sobie, po zasięgnięciu miarodajnych informacji, podać do wiadomości ogółu co następuje:

Od wielu lat w szeregach Organizacyj Kombatanckich, jak Zw. Leg., Zw. P. O. W., Zw. Obr. Lwowa itd. tragiczną bolączką było to, że liczni członkowie tych Organizacji, mimo zasług położonych w walkach o niepodległość, nie znajdowali warsztatów pracy, któreby zapewniały minimum egzystencji dla nich i dla ich rodzin.

Szczególnie ciężkie położenie było wdów i sierót, które fala bezrobocia wyrzuciła na bruk, a jedyną podstawą ich lichej egzystencji, były zasiłki otrzymywane ze Związków kombatanckich. Ale i zasiłki te nie były wystarczające, to też spotykało się wdowy czy dzieci po dawnych żołnierzach, które wyciągały rękę na ulicy. Taki stan był wstydem dla całego społeczeństwa, a przede wszystkim dla Organizacji kombatanckich.

W ostatnich latach Rząd w drodze specjalnych ustaw częściowo rozwiązał ten problem, dając pracę wzgl. skromne zaopatrzenie uczestnikom walk o Niepodległość. W większych ośrodkach miejskich, Zarządy Miejskie starają się w miarę swych kompetencji, przyjść z pomocą niepodległościowcom przez nadanie im sezonowych koncesji. Można z uznaniem podkreślić, że Lwów pod tym względem wywiązał się z tego obowiązku w stosunku do kombatantów bardzo dobrze. Poza dużą ilością zatrudnionych w przedsiębiorstwach miejskich, Zarząd miasta oddał niemal wszystkie kioski uliczne najbiedniejszym kombatantom lub ich rodzinom. Również Zarząd Miejski udziela rok rocznie kombatantom w sezonie letnim zezwoleń na sprzedaż uliczną wody sodowej. Tu należy się chwilę zatrzymać i pewne okoliczności, które rozpętały „burzę w szklance wody sodowej" bliżej naświetlić. W dziedzinie fabrykacji i sprzedaży wody sodowej od kilku lat panował we Lwowie poważny nieporządek — polegał on na tym, że sprzedaży wody sodowej na ulicach miasta nie wykonywali uprzywilejowani przez Zarząd Miejski kombatanci, natomiast wykonywali je producenci, którzy za kilka złotych wykupywali od dzierżawców uprawnienia na sprzedaż uliczną wody sodowej, a następnie najemnymi siłami eksploatowali te stanowiska na własny rachunek. Stwierdzić należy, że producentami wody sodowej we Lwowie są wyłącznie żydzi, — gdyż na 25 fabryk wody sodowej we Lwowie, 23 fabryki są żydowskie, jedna ruska i jedna polska tj. Żurawskiego, która w dodatku od dwóch lat jest — jak mówią — w likwidacji. W konsekwencji tego na stoiskach ulicznych w całym mieście wodę sodową wytwarzaną w tych fabrykach, sprzedawały wyłącznie elementy niepolskie. Sama zaś produkcja wody sodowej tak pod względem higienicznym jak i zdrowotnym pozostawiała wiele do życzenia. Przed niedawnym czasem komisja skarbowa stwierdziła, że w kilku fabrykach produkowano wodę sodową nie na czystym kwasie węglowym, lecz na kwasie siarkowym, bardzo szkodliwym dla zdrowia. Po gruntownym zaznajomieniu się z istniejącym stanem rzeczy, Zarząd Okręgu w porozumieniu z innymi Związkami Kombatanckimi postanowił celem ochrony interesów swych członków i innych Organizacyj kombatanckich, a w miarę swych sił, stosunki te zmienić. Po uzgodnieniu całokształtu sprawy z Zarządem miasta, Zarząd Okręgu osiągnął to, że sprzedawcami wody sodowej są obecnie wyłącznie kombatanci wzgl. ich najbliższe rodziny. Zarząd Okręgu nie mógł jednak i nie chciał bezpośrednio angażować się w prowadzeniu własnej fabryki wody sodowej, gdyż jest to zbyt skomplikowany odcinek pracy nie leżący w jego zakresie i poparł moralnie inicjatywę utworzenia kombatanckiej i czysto polskiej spółki, produkującej wodę sodową i soki. Jasnym i zrozumiałym jest, że na akcję tę zareagowali w sposób gwałtowny producenci żydowscy, wciągając do walki z nowopowstałą spółką i niektórych Polaków, którzy łącznie z żydami bądź w memoriałach do władz, bądź też uczestnicząc w delegacjach, swoimi osobami bronili żydowskiego interesu. Sposoby i środki zastosowane w tej walce przez żydów trafiły nawet na podwórko endeków, którzy w swoim organie prasowym „Słowie Narodowym" właśnie pierwsi stanęli w obronie 23 producentów żydowskich we Lwowie, no i broniąc jednocześnie tych wszystkich obcych nam elementów, które co roku sprzedawały wodę sodową na ulicach m. Lwowa. Po tym wspólnym z żydami ataku „Słowa Narodowego" i pism żargonowych na nowopowstałą kombatancką i czysto polską spółkę, wystąpiło w obronie producentów żydowskich jeszcze jedno „pisemko", które powiewając narodową chorągiewką w sążnistym „artykule", napisanym pod dyktandem zainteresowanych, gwałtownie zaatakowało przedsiębiorstwo „chrześcijańskich niefachowców, które podcina podstawy istnienia szeregu starych przedsiębiorstw żydowskich". Sapienti sat!

———o———

NOWA PROWOKACJA

W sklepie dewocjonalii naprzeciw Wołoskiej Cerkwi przy ul. Ruskiej, w polskim mieście Lwowie, sto kroków od Urzędu Wojewódzkiego, wisi od kilku dni szczególnego autoramentu tableau. Napis ponad siwą głową sędziwego Metropolity brzmi: Absolwenci ukraińskiego Seminarium duchownego. Nikogo to nie obchodzi, że Seminarium to jest grecko-katolickie. O tym napis milczy.

Na czterech rogach widzimy cztery syptomatyczne obrazy z datami ale bez napisów. U góry rycerz na koniu i datą 1648 r. Prawosławny Bohdan Chmielnicki... szczególnie zasłużony dla religii katolickiej i dla Lwowa.

W drugim rogu chłop rwący łańcuchy na tle żółto-niebieskiej tęczy. Rok. 1848. Zniesienie pańszczyzny. U dołu mołodycia z książką w ręku, u jej stóp kula, prawdopodobnie globus. Oświata: Data założenia Proświty 1869 r. (?)

Wreszcie ruski żołnierz z widłami na czapce, z wielkim żółto-niebieskim sztandarem. 1918 r. Tego Lwów dobrze pamięta. Pożogę, mord i krew także...

Cztery te obrazy pouczają nas najlepiej, w jakim duchu wychowują się wychowankowie owego „ukraińskiego" seminarium duchownego.

Czas ostatni, aby pouczyły też odpowiedzialne czynniki. Czas ostatni, aby znalazł się ktoś odważny, ktoby umiał uderzyć pięścią w stół i powiedzieć: Dość prowokacji!

Nie zapominajmy, że przez ulicę Ruską chodzi młodzież polska, widzi to i burzy się, bo jej uczucia narodowe zostały obrażone. Może to dobrze, że ją to drażni, że się oburza. Rosną mściciele, którzy powstali z naszych kości (?)

———o———

Z ŻYCIA GOSPODARCZEGO

„Przebudowa społ.-gospodarcza wsi"

Głos w dyskusji trzeci

W Nrze 6 „Woli i Czynu" P. Liebersbach w artykule dyskusyjnym, jak w nagłówku, wskazał trzy ogólne kierunki, wiodące do przebudowy społeczno-gospodarczej wsi, a zatem i Państwa.

Primo: przez podniesienie kulturalne i fachowe chłopa polskiego.

Secundo: przez powołanie, w szerokim tego słowa znaczeniu, samorządu terytorialnego.

Tertio: przez reformę rolną z komasacją itp.

Ugrupowanie zagadnień i klasyfikacja, zupełnie trafna, i poparta może być dziełami b. poważnych autorów.

W Nrze 9. P. Janowski Bronisław, chowając się za broszurę P. Steckiego, rozprawia się generalnie z założeniami P. Liebersbacha i kończy artykuł nast. słowami: „a jeśli p. Liebersbach pisząc powyższy artykuł jako dyskusyjny, spodziewał się, że i na niego ktoś zechce odpowiedzieć, obawiamy się — że ta nadzieja się nie spełni, przynajmniej na łamach poważnej prasy, zwykłej na tak naiwnie skonstruowane a w tonie wiecowym zredagowane zaczepki — odpowiadać milczeniem".

W Nrze 11 P. Olszowski udowadnia, że założenia artykułu P. Liebersbacha są słuszne i poparł je dowodami historycznymi.

Zostały pominięte argumenty zasadniczej wagi i P. Janowski mógłby przypuszczać, że schowanie się za broszurę P. Steckiego jest tak mocne — że dalsza dyskusja jest zbędną.

Przyznaje się P. Janowski do tego, że b r o s z u r a p. Steckiego została napisaną — jako przeciwstawienie dzieła P. Turowskiego pt. „Warunki i drogi rozwoju wsi polskiej".

Reforma rolna dla 17 tysięcy właścicieli obszarów folwarcznych w Polsce, jest zmorą, która od zarania Niepodległej Polski spać im nie daje — i do walki z tą zmorą zmobilizowano ogromny i sprawny aparat — propagandowy — i obsadzono wszystkie przyczółki - węzły i ważne arterie w życiu społecznym i państwowym.

Ziemianie (bez względu na pochodzenie) mając na widoku li tylko zimny egoizm klasowy, od lat 20 opóźniają przeprowadzenie reformy rolnej. Za to też będą musieli zdać rachunek przed potomnością.

Należy się tylko dziwić, że brak poczucia odpowiedzialności za losy Narodu i Państwa — które według Konstytucji „jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli", nie pozwala im wyjść z ciasnego podwórka egoizmu klasowego i znaleźć innej drogi wyjścia, jak tylko: 1) dobrowolną parcelację (z drobnym odszkodowaniem i dodatkowymi bonifikatami), argumentując, że 2) utrzymanie dużych obszarów folwarcznych jest koniecznością ze względu na dostawy zbóż dla armii, miast i ośrodków przemysłowych, oraz wskazuje, że 3) należy podnieść rentowność małych gospodarstw rolnych.

Kto miał możność rozmawiania z chłopami tzw. parcelantami, ten nasłuchał się — co to się działo jeszcze przed wojną światową. Chłopi za ziemię kupioną z parcelacji — zapłacili kilkakrotną jej wartość i do dnia dzisiejszego — nie są częstokroć prawnymi posiadaczami tej ziemi. Parcelację taką z wolnej ręki nazywa się d z i k ą, — określenie trafne — gdyż chłopa jak gdyby dzicy ludzie — ze wszystkich stron dziko ze skóry obdzierali.

Może się znajdzie historyk - społecznik, który zbierze materiały do historii parcelacji w Polsce. Historia ta, będzie jednym wielkim oskarżeniem wyzysku chłopa polskiego przez właścicieli ziemskich, często też Polaków.

Gdyby chłop polski miał czekać na parcelację dobrowolną z łaski pp. Steckich i Janowskich, tak jak i życzy sobie tego klasowy Związek Ziemian, to mógłby na tę łaskę czekać dziesiątki, ba nawet setki lat.

Zamaskowanych i jawnych przeciwników parcelacji sprawa przeludnienia wsi polskiej, chociaż jest bezsporna i udowodniona, — nie wiele obchodzi. Nie będę wspominał o sprawiedliwości chrześcijańskiej PP. Kolatorów, którzy b. blisko ołtarza siedzą, — gdyż nie chcę narażać się na śmieszność.

Aby nie być gołosłownym, podaję kilka cyfr z Rocznika Statystycznego (1937 roku).

Gęstość zaludnienia:	na 1 km²
Woj. południowe:	114
z tego krakowskie	132
lwowskie	110
stanisławowskie	88
tarnopolskie	97
Woj. zachodnie	102
„ wschodnie	48
W Polsce przeciętnie	88
Powiaty: przemyski	162
przeworski	148
rzeszowski	146
stanisławowski	159

*

Europa przeciętnie na 1 km²	46
Kraje tzw. rolnicze:	na 1 km²
Dania	83
Estonia	24
Finlandia	9
Łotwa	30
Rumunia	65
Litwa	45
Bułgaria	59

Proszę porównać tych kilka cyfr i zestawić — opór ziemian przeciwko reformie rolnej.

Powiadają ziemianie: folwark niech zostanie, zaś chłop niech idzie do rzemiosła do miast i miasteczek, do fabryk. Niechaj zakłada kramy — na miejscu kramików żydowskich.

Tymczasem przejście z ziemi — z zawodu rolnika pociąga za sobą konieczność nabycia fachu. Nadmiar niekwalifikowanych wolnych rąk pracy — jest klęską społeczną.

O tych sprawach — lepiej milczeć.

Gdzie ma odpływać nadmiar wolnych rąk, kiedy emigracja zamorska, czy sezonowa są zamknięte?

A gdyby nawet emigracje obie były nieograniczone niczym — to czy pozbywanie się dzielnych, zdrowych synów Ojczyzny — z punktu widzenia obronności Państwa jest celowe?

Czy i to zagadnienie szanowny autor też pominie milczeniem — **„Niechaj się Polska wali, bylem nie utracił skrawka ziemi z folwarku".**

Przysłowiowa nędza wsi małopolskiej — której patronowali tyle wieków obszarnicy i z tego patronactwa ustąpić nie chcą — też jest zagadnieniem godnym „milczenia".

Racja! Jest drugi parawan do osłonięcia prawdy: na rzeczowo-demagogiczne argumenty nie odpowiadamy!

Dziwię się, że Panowie zapominacie o reformie rolnej, przeprowadzanej u bardzo bliskich sąsiadów, jak: na Litwie, Łotwie, Estonii, Finladii, Rumunii i innych krajach europejskich, zbliżonych kulturą gospodarczą do Polski.

Też może być demagogią — porównanie rentowności i stopy życiowej chłopa Danii i innych państw rolniczych.

W jaki sposób powstały folwarki, pisał P. Olszowski, podpisany — doda: proszę przeczytać książkę Marii Dąbrowskiej pt. „Rozdroże", a wszelka dyskusja odpadnie.

Reasumując stwierdzam, że reforma rolna jest koniecznością dziejową i musi być przeprowadzona jak najrychlej, bez względu na krzyk i opór obecnych jej posiadaczy.

Celowo przeprowadzona reforma rolna naprawi krzywdę historyczną i społeczną i wprowadzi Naród Polski na nowe drogi bytowania, — osobiście podpisany jest zwolennikiem reformy rolnej (z częściowym odszkodowaniem), przeprowadzonej przez Rząd Polski.

Odnośnie do minimum — obszarów samodzielnych podaję opinię szeregu autorów.

1) Prof. Bujak (w roku 1818) za samodzielne gospodarstwo, obrabiane siłami rodziny, uważał obszar o powierzchni 5—10 ha.

3) Prof. Grabski Władysław 5—15 ha.

3) Prof. Staniewicz Witold 6—7 ha ziemi **klasy III.**

4) Poniatowski Józef 6 ha.

Według Wyd. Inst. Gosp. Wiejsk. W-wa 1937 — na ankietę — rolnicy sami określają wielkość, na terenie ziem południowych 4—5 ha, wschodnich 11—13 ha (G. Turowicz: Warunki i drogi rozwoju gosp. wsi pol., przypisek na str. 99).

Zdaję sobie sprawę, że dokładnie przeprowadzona reforma rolna z melioracją - komasacją z usprawnieniem nieużytków, nie zaspokoi w 100% głodu ziemi w Polsce.

Wobec tego postawię pytanie retoryczne.

Ponieważ głodu ziemi na wsi całkowicie się nie zaspokoi — więc nie przeprowadzać reformy rolnej? Wychodzi z tego dziwoląg, który jest jednym z walnych argumentów obszarników.

P. Janowski pisze: „P. Liebersbach odmawia znaczenia gospodarstwom folwarcznym tak dla prawidłowego rozwoju rolnictwa jak i dla aprowizacji i obronności kraju, podczas gdy p. Stecki podaje całe szeregi zestawień, opartych na datach statystycznych ze źródeł urzędowych i powołuje się na wiele innych prac, jako też na dzieło: „Rolnictwo i Wojna", gdzie zostało bardzo wyczerpująco omówione i z druzgodzącą logiką udowodnione".

Od siebie P. Janowski nadmienia — też druzgodzący argument, że podczas wojny (której?) trzeba było na wieś wysyłać „ekspedycje karne", by od poszczególnych chłopów móc wydostać po kilkanaście kg zboża.

Na to obszernie odpowiedział P. Olszowski; podpisany poda kilka cyfr, które tak skrzętnie omija P. Janowski.

Państw. Inst. Nauk Gosp. Wiejskiego podaje wskaźniki dochodu społecznego:

Wielkość gospodarstw	Wskaźniki dochodu społecznego	
	1927/28	1934/35
2 — 3 ha	167.2	256.0
3 — 5 „	175.2	248.6
5 — 10 „	139.9	226.3
10 — 15 „	123.0	203.5
15 — 30 „	105.4	152.1
30 — 50 „	100.0	100.0

A teraz wartość produktów rolnych z 1 ha w złotych — w ciągu 1932/33—1934/35.

(patrz tabela nr. 1).

Te dwie tabelki dużo mówią i jako argument są druzgocące.

Jeszcze dla poparcia podam opinię tak miarodajną jak Profesor Grabski Władysław, który stwierdza (1936 r.), co następuje: „W ostatnich czasach głośno się o tym mówi, że parcelacja grozi wygłodzeniem Polski w czasie wojny. Tymczasem cyfry wykazują wprost odwrotnie, że właśnie ze względu na samowystarczalność w czasie wojny, mniejsza własność da Polsce dużo lepsze wyżywienie, bo dziś pomimo że ma gorsze grunta (i nie stosuje drogich nawozów sztucznych, nasion i ulepszonych narzędzi — przyp. aut.) już jest w stanie produkować 15% więcej zbóż jadalnych z tej samej przestrzeni, co większa własność. Każde przeto przejście ziemi z rąk większej własności do mniejszej, powiększy zdolność ziemi polskiej do wyżywienia armii i ludności o 15% w zakresie zbóż jadalnych a o 44% jeżeli idzie o ziemniaki".

Jeżeli idzie o artykuły hodowlane, to wyżej podana tabelka i dokładne obliczenia, wykazują nieprawdopodobny stosunek 19 — do 81 — na korzyść małych gosp. rolnych.

P. Janowskiemu idzie o rekwizycję podczas wojny, to sprawa ta jest b. skomplikowana i doświadczenia wojny światowej w różnych krajach wykazały, że nie może być w 100% rozwiązana.

Poza tym wojny: wielka i polskie wykazały, jak to było naprawdę, wykazały też, że małe gospodarstwa szybko się odbudowały, duże czynią to do dnia dzisiejszego. (Vide głosy prasy z ostatniego zjazdu ziemian w Wilnie).

Z drugiej strony nie wolno zapominać o konsumpcji.

Tu dla rozwoju przemysłu rodzimego powstaje olbrzymi rynek zbytu, a należy podkreślić, że mało kłopotliwy — **około 4 miliony rodzin chłopskich i 17 tys. rodzin ziemiańskich (bez służby).**

Siła nabywcza według danych Inst. Puławskiego przedstawia się druzgocąco dla wielkiej własności.

(patrz tabela nr. 2).

Cyfry podane przez Inst. Puławski, zasługują na wiarę i nie można przejść nad nimi milczeniem.

Warto też nadmienić o premiach wywozowych dla zbóż, a brak tych premii dla artykułów hodowlanych.

Odnośnie do trzeciej grupy zagadnień, P. Janowskiego i zainteresowanych odsyłam do sprawozdania z działalności M. T. R. za rok ubiegły oraz statutu tegoż Towarzystwa, które ma się opiekować drobnym rolnikiem — a gdzie też chłop, członek tejże organizacji na wyższy szczebel nie może się przepchać, jak i wielbłąd biblijny przez ucho igielne poszczególnych artykułów.

SPRAWY KULTURY

Równouprawnienie wsi a lekarze

Przedostatni, trzydziesty pierwszy „przedmiot obrad” bieżącej sesji nadzwyczajnej Sejmu nazywa się oficjalnie:

„projekt ustawy o zmianie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o wykonaniu praktyki lekarskiej”.

Skromna ta nazwa obejmuje treść bardzo bogatą i w skutki dla naszego życia społecznego doniosłą. Projekt ten, o ile się stanie ustawą, obali przede wszystkim datującą się jeszcze od średniowiecza, choć ustawowo nieskodyfikowaną zasadę, że lekarz to człowiek „urbi adsciptus”. Tak jak dawniej chłop był ustawowo „glaebae adscriptus”, t. zn. nie wolno mu było porzucić ziemi, na której się urodził i którą musiał dla pana swego uprawiać, tak ustalił się zwyczaj, że lekarz osiedlał się tylko w mieście, pomijając z reguły wieś.

Lekarzy mamy w Polsce ponad 12.000, a 61,5% tej cyfry praktykuje w 29 miastach, liczących jednak w sumie tylko 13,5% ogółu ludności. Cztery i pół miliona mieszkańców korzysta z opieki blisko 8.000 lekarzy, gdy jednocześnie 29 milionów, rozrzuconych po 575 miasteczkach oraz na wsi ma do dyspozycji zaledwie 5.000 lekarzy. Kontrast aż nadto widoczny.

W Warszawie osiedliło się ponad trzy tysiące lekarzy, tj. jedna czwarta adeptów mistrza Hipokratesa i na każdego lekarza przypada tam około 400 mieszkańców, Lwów ma ponad 1.200 lekarzy i tu przypada nawet jeden lekarz na niespełna 300 mieszkańców, w Krakowie stosunek jest równie rażący, bo tam na jednego lekarza przypada 350 mieszkańców, ale za rogatkami tych trzech wielkich miast stosunki ulegają radykalnemu przeobrażeniu. W powiecie warszawskim (bez miasta) jeden lekarz przypada na 1.200 mieszkańców, a w powiecie lwowskim jeden na 5.500!

Im dalej od wielkich miast tem cyfry są mniej pocieszające. W pow. łowickim jeden lekarz przypada na 11.000 mieszkańców, w łukowskim jeden na 14.350, a w turczańskim (woj. lwowskie) stosunek ten wyraża się cyfrą 1:14.300. Oczywiście, że w województwach wschodnich dzieje się jeszcze gorzej. Podczas gdy na 123 km .kw. obszaru stolicy działa 3.000 lekarzy, to w pow. stolińskim w woj. poleskim jeden lekarz obejmuje zasięgiem swojej praktyki obszar o powierzchni 900 km kw.! W innych powiatach dzieje się wprawdzie lepiej, ale mimo to dla całego wojew. poleskiego współczynnik ten wynosi 182 km. kw., a każdy lekarz musi tam (operując cyframi statystycznymi) czuwać nad zdrowiem 6.000 mieszkańców. Że jest to niemożliwe i przy istniejących na Polesiu środkach komunikacyjnych niewykonalne, nie trzeba nawet dowodzić. Chłop nie korzysta z pomocy lekarskiej nie tylko dlatego, bo jest biedny, ale przede wszystkim dlatego, bo lekarz jest nieosiągalny. Chłop żyje jak jego przodkowie, gdyż nikt go innych zwyczajów nie nauczył.

Nadmiar lekarzy w miastach i brak ich na wsi, jest zjawiskiem niepożądanym z wielu względów. Niepożądanym przede wszystkim dla samych lekarzy. W wielkich miastach konkurencja jest tak wielka, że niektórzy „konsyliarze” nie zarabiają nawet stu złotych miesięcznie. A jednocześnie ten sam lekarz, gdy mu zaproponują wyjazd na prowincję, waha, się i... przeważnie nie wyjeżdża. Jednym tchem wypowiada: „schłopieję, na prowincji muszę zrezygnować z kultury i rozrywek itd”.

Pozornie argumenty te wydają się słuszne. Nawet we Francji, czy Niemczech, wieś ma nieproporcjonalnie mało w porównaniu z miastem lekarzy, ale mimo wszystko rozumowanie lekarzy nie jest przekonywujące i nie może być wytyczną dla organizatorów życia społecznego. Rzecz dziwna, że mimo nadmiaru wegetujących lekarzy w miastach uniwersyteckich, gdy ogłasza się o wolnej posadzie lekarskiej w miasteczku z płacą 200 zł i możnością wolnej praktyki, to długie miesiące mijają, zanim kandydat się znajdzie. Do spółdzielni zdrowia w Markowej (woj. krakowskie) poszukiwano lekarza dwa lata!

Lecz to jeszcze nie wszystko. Ponieważ oddalona od wielkich szlaków prowincja i wieś od lat daremnie upominają się o prawo do korzystania na miejscu z opieki lekarskiej, Rząd premiera gen. Składkowskiego wyznaczył przed dwoma laty 50 stypendiów lekarskich, z tem, że po uzyskaniu dyplomu lekarz otrzyma stypendium 150 zł miesięcznie, by mógł pozostać w środowisku uniwersyteckim i przez rok pogłębiać swą wiedzę, a za to potem, przez dwa lata, ma praktykować jako lekarz okręgowy w miejscowości, wskazanej przez Ministerstwo Opieki Społecznej z płacą 200 zł miesięcznie, i prawem wolnej dodatkowej praktyki. Zdawało się, że będzie wielki kłopot z nadmiarem podań, że rozlegną się protesty „mało”, a tymczasem w pierwszym roku... nikt się nie zgłosił. Dosłownie. W całej Polsce. Mimo kuszącej propozycji, zapewniającej egzystencję przez dwa lata, mimo rozlegających się od lat alarmów o bezrobociu wśród lekarzy i mimo niewątpliwej pauperyzacji tego arystokratycznego niegdyś stanu, warunki konkursowe, przewidujące osiedlenie się na głuchej prowincji nikomu się nie uśmiechały. Młodzi lekarze wolą w wielkim mieście o wiele mniej zarabiać, a nie emigrować na prowincję.

Jak widać, jest to zjawisko paradoksalne. Z jednej strony cierpi stan lekarski jako taki, z drugiej zaś daremnie czeka wieś. Mówiono o tym głośno od szeregu miesięcy w organizacjach lekarskich, zwoływano nawet specjalne konferencje, ale do niczego nie doszło, bo starzy lekarze obawiali się zaryzykować radykalnych uchwał, aby nie drażnić narybku, przeciwnemu wszelkiemu przegrupowaniu i przesiedlaniu.

Już dawno wśród starszych lekarzy mówiono o tem, że lekarze powinni być wyszkoleni w medycynie społecznej, powinni opanować metody walki z epidemiami i po ukończeniu studiów spędzić obowiązkowo dwa lata na praktyce na wsi. Jednostki wybitnie zdolne, a pracujące naukowo powinny oczywiście pozostawać w ośrodkach uniwersteckich jak bywa z nauczycielami gimnazjalnymi, czy inżynierami, ale lekarz pozbawiony ambicyj i talentów naukowca, nie może wiedzy, nabywanej dzięki Państwu, wyzyskiwać inaczej, niż tego wymaga interes Państwa. Lekarz musi być takim samym żołnierzem, stale czuwającym na froncie, jakim jest każdy obywatel nowoczesnego państwa, świadomego swoich celów i mającego wolę cele te realizować dla dobra zbiorowości. A jeżeli lekarz misji swojej nie rozumie, to Państwo musi mu ten obowiązek przypomnieć. Z legendą o wolnym zawodzie skończyć należy. Wolność to nie liberum veto, ale działalność skoordynowana.

Gdyby wszyscy inteligenci rozumowali na podobieństwo lekarzy, ani nauczyciel, ani ksiądz, ani urzędnik nie obejmowaliby placówek na wsi, ale dusiliby się wszyscy w mieście, dopóki wieś nie upodobniłaby się do miasta, co oczywiście przy takiej sytuacji nigdyby nie nastąpiło. Z punktu widzenia społecznego bojkot wsi przez lekarzy jest zjawiskiem fatalnym w skutki. Kto bowiem ma ciągnąć wieś w zwyż, jeśli nikt nie chce się tej misji podjąć i kto jest bardziej do takiej misji powołany, jak nie inteligent, w danym wypadku lekarz.

Po ogłoszeniu deklaracji płk. Koca prezesi Izb Lekarskich, zebrani na specjalnej konferencji w Warszawie w dniu 1 marca ub. r. stwierdzili we wstępie do obszernej rezolucji:

„Stan lekarski Rzeczypospolitej Polskiej uważa sprawę obronności Państwa za najwyższy nakaz dziejów Polski. Drogę ku spełnieniu owego nakazu stan lekarski widzi w dobie obecnej w zespolonej pracy nad podniesieniem zdrowotności i tężyzny fizycznej Narodu... itd.”

Pozostały to jednak dotychczas słowa. Bo „podniesienie zdrowotności” to w żadnym wypadku traktowanie lekarza jako „urbi adscripti”, jako pana oglądającego chłopa albo w swoim gabinecie ordynacyjnym w mieście, albo na wsi... przez szyby samochodu podczas niedzielnej wycieczki. To także nie sezonowy wyjazd do chorego, ale systematyczna, żmudna i wytrwała praca nad podniesieniem stanu higieny wsi na **miejscu.** Piękne słowa prezesów Izb Lekarskich nikogo nie uzdrowiły. Czynem jest co innego. Zapoczątkowali ten czyn **sami** chłopi.

W różnych stronach powstają spółdzielnie zdrowia. Mamy ich już kilka w Małopolsce, chłop spostrzegł się bowiem, że w inny sposób nie ściągnie do siebie lekarza. A dzisiejsi działacze wiejscy doceniają znakomicie, co to znaczy tężyzna i zdrowotność i wiele nam brakuje, aby te powiedzonka o naszym chłopie były **bezwzględną prawdą.** Świadomie w tym miejscu unikam danych o zdrowotności wsi, bo obraz ten jest rozpaczliwy, a winę ponosi jednak w pewnym stopniu **lekarz.**

Zamiast oskarżać, w chwili, gdy problem dojrzewa i ustawowo będzie unormowany zwróćmy uwagę na inną okoliczność. Jednym ze sposobów

Tabela nr. 1.

PRODUKTY	Gospodarstwa o obszarze ha					
	2—3	3—5	5—10	10—15	15—30	30—50
4 główne zboża	12.89	16.56	30.65	30.45	30.83	39.73
Cała produkcja roślinna	34.36	35.14	49.09	48.10	43,69	50.91
Cała produkcja zwierzęca	135.75	120.12	88.30	71.75	61.75	55.68
Ogółem	184.01	165.94	146.65	128.13	111.96	111.00

Tabela nr. 2.

Gospodarstwa o obszarze ha	Rozchody gotówkowe na 1 ha			
	1926/28		1931/35	
	w złotych	wskaźnik	w złotych	wskaźnik
2—3	561.3	214.6	261.9	288.1
3—5	467.0	178.8	167.9	185.0
5—10	372.7	142.5	142.1	156.5
10—15	306.8	117.3	114.0	125.5
15—30	255.8	97.8	98.9	108.9
30—50	261.2	100.0	90.8	100.0

Czy ręce, które kierują tą organizacją (a nie funkcjonariusze płatni) szczerze opiekują się chłopem polskim? Bardzo wątpię. M. T. R. i O. T. R. — to przeważnie agentury sprawnej organizacji Związku Ziemian. O spółdzielczości Kółek Rolniczych nie warto obszernie mówić, bo tu historia tego ruchu i cyfry — oraz niejednokrotnie akta sądowe, pachną skandalem.

Ostre słowo — lecz nie wiecowo-demagogiczne.

*

Jesteśmy odpowiedzialni, przed wszystkimi przyszłymi pokoleniami i przed cieniami naszych poprzedników, którzy nadaremnie o odzyskanie wolności walczyli, za to, że niezmierzonej ceny dobro „niepodległość” nie uronimy.

„Caveant consules ne Respublicae quiquid detrimenti capiat” — ta katońska dewiza powinna być wyryta w duszach nie tylko konsulów, ale i przodowników, ale całego myślącego i czującego społeczeństwa.

Dzieje ostatniej wojny i okresu powojennego wykazały szczególnie dobitnie, że wola ziemiaństwa jako klasy przodowniczej w narodzie już się skończyła.

Niechęć do władzy, do urzędników i wszystkiego co jest z państwem związane, najostrzejsza krytyka uchybień, stronienie od urzędowania to są cechy i stosunek ziemiaństwa do Niepodległego Państwa Polskiego.

To jest gasnący świat — powiedział Wielki Marszałek.

Oni muszą odejść z ziemi, którą obejmie w wieczyste posiadanie chłop polski, w którego sercu bije żywiołowe i gorące przywiązanie do Ziemi-Matki.

P. S. Stwierdzam, że odpowiedź i poprzednia dyskusja nie wyczerpują problemu, który omówię w następnych numerach „Woli i Czynu”, o ile Redakcja łaskawie użyczy mi miejsca.

Paweł Szaro

podniesienia zdrowotności wsi byłoby zakładanie ośrodków zdrowia. Trzebaby ich około 3.000. Kto wie jednak, czy nie dałoby się sprawy tej w tani sposób rozwiązać przez likwidację istniejących już w miastach ośrodków i przeniesienie ich na wieś. Zdaniem pewnych kół lekarskich conajmniej połowa isniejących dziś ośrodków jest zbędna. Przynosi korzyść zatrudnionemu w niej personelowi, ale ludności znacznie mniej. Biedacy mają do dyspozycji bezpłatną pomoc lekarską w gminie, którą to pomoc lekarską należałoby tylko rozszerzyć. Natomiast ośrodki zdrowia możnaby przenieść tam, gdzie niema ani lekarza, ani apteki, ani nawet egzaminowanej położnej, tj. na wieś.

Lekarz ośrodka zdrowia powinien otrzymać odpowiednią pensję, aby nie tylko mógł się utrzymywać (życie na wsi jest tanie), ale też odkładać na kupno książek czasopism, wychowanie dzieci itd. Lekarz ośrodka wiejskiego powinien też mieć dwa miesiące urlopu rocznie z tym, że jeden miesiąc musi obowiązkowo spędzić w ośrodku uniwersyteckim na uzupełnieniu swej wiedzy. Przy spełnieniu tych warunków niema obawy schłopienia. Zresztą, co to właściwie znaczy schłopienie. Dziś w epoce radia, o ważnym zdarzeniu dowiadują się równocześnie mieszkaniec miasta i wsi. Plotki kawiarniane nie są zajęciem dzisiejszego obywatela, a Polska nie kończy się za rogatkami wielkich miast. O tym inteligencja stanowczo pamiętać powinna.

Nie omawiając projektu rządowego, który zresztą znalazł już omówienie na łamach prasy codziennej, stwierdzić należy, że ostatnio problem osiedlenia lekarza na wsi unormowany został w licznych państwach, że wymienimy Niemcy, Włochy, Sowiety, Bułgarię lub Jugosławię. Aby nie sankcjonować sztucznego zagęszczenia w jednym miejscu przy równoczesnym pozbawieniu opieki lekarskiej milionów chłopów, Rząd musiał kwstię tę unormować tak samo, jak dawno już unormowana jest sprawa rozmieszczania nauczycieli czy urzędników.

Nie zapominajmy, że lekarz to pionier cywilizacji i kultury, a gdy go zabraknie w pierwszym szeregu, gdy do ekspedycji mającej na celu podbój kulturalny wsi, lekarz sam się nie zgłasza, trzeba zrobić wszystko, aby jednak ten lekarz także się znalazł.

Nie mamy za dużo lekarzy w mieście, ale mamy ich za mało na wsi, a w mieście będzie ich niebawem za dużo. Ustawa obecna ma problem ten rozwiązać zgodnie nie tylko z interesem zbiorowym, ale i z logiką, jeśli tylko jej miarą oceniać zechcemy problem i szukać rozwiązań na drodze słuszności.

Civis.

OD ADMINISTRACJI.

Prenumeratorów naszych prosimy o wyraźne i czytelne podawanie nazwiska i adresu, ułatwia to bowiem w dużym stopniu wysyłkę pisma.

W razie nieotrzymania pisma w terminie, prosimy reklamować w odnośnym Urzędzie Pocztowym, ponieważ Administracja wysyła pismo punktualnie i do wszystkich Prenumeratorów.

B. W. LEWICKI

Teatr — dla kogo?

To, że zmieniają się we Lwowie zespoły teatralne i osoby teatralnych rządców, nie jest ani niczym dziwnym, ani specjalnie tragicznym. To jest tylko dziwne, że każde przesilenie teatralne odbywa się w specjalnym nastroju. Jest to niezdrowy nastrój sensacji. Targi o osobę nowego dyrektora, krytyka osiągnięć dokonanych w sezonie minionym, nieproszone rady i wskazówki na przyszłość — wszystko to zajmuje żywo ogół czytelników gazet i plotkarzy kawiarnianych, tych samych, dla których problem teatru samego całkowicie nie istnieje. Duże zainteresowanie przesileniem teatralnym, potem przez cały sezon pustki w teatrze — oto prawdziwe oblicze spraw teatralnych Lwowa. Po co więc robi się tyle huku o teatr, do którego i tak uczęszczać się nie będzie?

Lwów chlubi się stale — najgorliwiej właśnie w okresie przesileń teatralnych! — swą bogatą i górną tradycją teatru. Że właśnie tu, we Lwowie wymieniamy; Bogusławski i Kamiński i Skarbek a potem Dobrzańscy, Pawlikowski, Trzciński, Schiller i Horzyca. I rzeczywiście. Nikt nie zaprzeczy, że wielokrotnie na przestrzeni minionych 150 lat scena lwowska dźwigała się na przodujące w Polsce stanowisko. Ale też tu legenda świetności ujrzana od strony poparcia teatru przez społeczeństwo okazuje się porządnie zakłamana. Czym się bowiem chlubi Lwów? Czy tym, że Bogusławski zadręczony kłopotami opuszcza to miasto i chce zapomnieć o ludziach, którzy (jak później w jednym z listów napisze), „albo mnie kradli albo niegodziwie postępowali w nieszczęściu mojem"—? Czy tym, że wielkie dzieło Skarbka nazwała prasa publicznie „oszukaństwem"? Czy tym, że słynne przedstawienie „Skarbu" Staffa odbyło się przy pustych krzesłach a samego Pawlikowskiego w specjalnej broszurze jeden z literatów lwowskich piętnował jako szkodnika—? Czy i to może jest chlubą Lwowa, że teatr Schillera zlikwidowano przy udziale policji politycznej? i to, że świetne inscenizacje za dyrekcji Horzycy tonęły w ogólnej obojętności?

Lwów jest miastem ciężkim dla atmosfery teatralnej, ma bowiem wysokie o swej kulturze mniemanie i dosyć pospolity gust. Jest przy tym mocno kapryśny. Nie sposób go do czegokolwiek nakłonić. W pełni więc można ocenić wysiłek teatru Warneckiego, który wziął sobie jako punkt ambicji stworzyć dla Lwowa teatr potrzebny. Pod tym kątem widzenia przygotował repertuar. 33 sztuki w ciągu sezonu. 20 w Wielkim, 13 w Rozmaitościach. Prócz tego 2 przedstawienia zespołów gościnnych i 15 imprez muzyczno-literackich. Repertuar rozłożony: 11 sztuk i dramatów, 12 komedyj i fars, 4 komedie muzyczne i operetki, 3 rewie, 3 spektakle dziecinne. Dla melomanów — stagione operowe dla wybrednisiów — 10 prapremier. Jedno co było zaś przede wszystkim ujmujące w teatrze Warneckiego — to praca. Rzetelna ambitna praca młodych aktorów. W pracy tej tworzyć się począł zwarty, wartościowy zespół artystyczny. Po niedługich miesiącach pewnej chwiejności, teatr Warneckiego począł być teatrem ciekawym i wartościowym. Tego żadnej z sztuk w ostatnim okresie wystawianych odmówić nie można było. Co do popularności wszakże dużo możnaby mieć zastrzeżeń. Niektóre operetki — te tylko cieszyły się frekwencją. Na wszystkich innych sztukach pustka. Nadarza się przykład nieledwie drastyczny. Umiera Rostworowski. Prasa prawicowa deklaruje go jako wieszcza narodowego, nawołuje społeczeństwo do złożenia hołdu jego pamięci. Kiedy wszakże w teatrze zaprezentowano jego ostatnią sztukę, „U mety", na widowni były jak zwykle pustki.

Dla kogo więc istnieje teatr we Lwowie? Dla pustych krzeseł? Dla krytyków, których kijem na żadną sztukę nie zapędzisz, ale którzy nie omieszkają krytykować wszystkiego i wszystkich? Czy istnieje we Lwowie jakaś szansa popularności sceny — do wygrania? Przypuścić należy, że tak. Poza szczupłym kręgiem stałych bywalców teatru znaleźć można bardzo dużo ludzi takich, którzy w teatrze widzieć będą rozrywkę i godziwą zabawę. Jest to robotniczy proletariat przedmieść, poza tym młodzież szkolna i wojsko. To są wdzięczni widzowie teatralni. Teatr jednak musi pójść w ich stronę. Zapomnieć o tych, dla których ważne są chyba tylko zmiany zespołów fortancerek w dancingowych lokalach, nigdy sztuka — przez duże czy przez małe „s". Pomyśleć o wprowadzeniu na widownię robotnika, żołnierza i ucznia. Oczywiście, nie wolno wracać do koncepcji tworzenia teatru z amatorów i trzeciorzędnych sił aktorskich — dla odgrywania za drogie pieniądze słabych sztuczek. Pewnik jest jeden: żołnierz i robotnik wart jest teatru dobrego. Twórczego i ambitnego. Popularność teatru nie jest równoznaczna z teatralnym prymitywizmem. Nie wolno dawać namiastki zamiast prawdziwego pokarmu artystycznego. Skoro we Lwowie istnieć będzie dalej teatr zawodowy o ambicjach popularności, dlaczego stwarzać mu trzeba od razu konkurencję... Bo poza tym można mieć poważne wątpliwości, czy odgrywane przez amatorów operetki Kalmana i sztuki o nastrojach erotycznych wśród pensjonarek — to jest właśnie sztuka popularna dla żołnierza i robotnika. Amatorski teatr? — dobra zabawa, owszem, ale tu się mówi przecież o sztuce i jej popularyzacji. Można wymagać teatru prawdziwego tam, gdzie mówi się o prawdzie głoszonej przez teatr.

Przegląd prasy

W „Dzienniku Polskim" z czwartku dnia 16 czerwca br. ukazał się artykuł Posła dr Wojciechowskiego p. t. „Niepewny Kontrahent". Autor omawia tutaj jedno z najżywotniejszych zagadnień w Państwie mianowicie kwestię ukraińską.

„Nie ma więc znowu zgody, upadła normalizacja, polsko-ukraińska, czytamy, tym niemniej żyć będziemy obok siebie, Polacy i Ukraińcy, na tej ziemi, czy jest to komu miłe, czy niemiłe, i na pewno bieg wypadków zmusi nieraz jeszcze obie strony do szukania dróg porozumienia. Trudności porozumienia nie wychodzą od nas, i nie my Polacy jesteśmy w możności je usunąć. Nie naszą jest rzeczą dziś boleć, nad tym, że politycy ukraińscy jeszcze raz ośmieszyli się, usiłując naśladować metody niejakiego pana Henleina. Chciałoby się powiedzieć: „Gdzie konia kują tam żaba nogę nadstawia". Nawet z Czechosłowacją nie tak łatwo idzie sudeckiemu korepetytorowi naszych undowców. A przecież Polska reprezentuje coś więcej niż Czechosłowacja".

Analizując stosunki mniejszości ukraińskiej w Polsce autor stwierdza że :

„nigdzie na świecie, tylko w Polsce — lud ukraiński ma pełne prawa obywatelskie, oraz warunki kulturalnego i gospodarczego rozwoju, jak również pełnię swobód religijnych. Wszędzie indziej jest naród ukraiński bądź nie uznawany, bądź metodycznie tępiony. Odpowiedzią na to ukraińskich polityków jest ich negatywny stosunek do Państwa Polskiego i nienawiść do Polaków. Jedno i drugie maskowane od czasu do czasu, „chytro-mudrymi" układami o pozornej zgodzie. Zaiste nie jest dla nas pewny taki kontrahent".

Omawiając kwestię komunizmu, Poseł Wojciechowski formułuje nasze stanowisko w sposób następujący:

„Naród Polski w swej walce ze społecznym i politycznym komunizmem, zmuszony jest uważać za swoich przeciwników, nie tylko wyraźnych komunistów, bez względu na to, czy to będą Polacy, Ukraińcy czy Żydzi, ale również i te wszystkie jednostki, a przede wszystkim te grupy polityczne, które w jakikolwiek sposób osłabiają siłę Państwa Polskiego i prężność Narodu Polskiego w historycznym zmaganiu się z rosyjską komuną. Wy, niestety, Panowie przywódcy undowcy, osłabiacie nasze Państwo i walczycie z Narodem Polskim, głosząc równocześnie hasła pełne frazesów o pomaganiu Polsce w walce z komuną".

Niech te przytoczone cytaty wystarczą dla zobrazowania naszych stosunków polsko-ukraińskich, które niestety są zagadnieniem coraz bardziej palącym ze względu na stałe wrogie nastawienie mniejszości ukraińskiej do naszego Państwa.

——o——

Unikajmy nowego skandalu!

Olbrzymi księgozbiór marnuje się bezużytecznie we Lwowie. Pracowicie w ciągu wielu lat zebranych 100.000, czy nawet 120.000 tomów, dotyczących wszystkich niemal dziedzin twórczego wysiłku, spoczywa od szeregu lat w kurzu i pyle, czekając, dopóki ktoś się zmiłuje i zechce uporządkowaną tę skarbnicę wiedzy udostępnić ogółowi, a przede wszystkim od zagłady uratować.

Słowa te o olbrzymim, a mimoto niezauważonym i szerokiemu ogółowi nieznanym majątku kulturalnym — nie są żadną poetycką fikcją, ani przenośną. To prawda. Smutna i bolesna, ale autentyczna. O tym niebywałym skandalu kulturalnym przypomniałem sobie, gdy przeczytałem onegdaj wiadomość o utworzeniu we Lwowie wielkiej publicznej biblioteki miejskiej. Przypuszczałem, że obejmie ona także owych 120.000 tomów, ale — okazało się, że na ten księgozbiór nie przyszedł jeszcze czas ocalenia go od zupełnego zaprzepaszczenia. Przypominam sobie, że przed piętnastu laty w prasie lwowskiej szeroko omawiano sprawę utworzenia wielkiej biblioteki publicznej, która by służyła nie tylko młodzieży uniwersyteckiej, ale interesującemu się naukowymi problemami ogółowi. Wypłynęła wtedy na szerokie fale dyskusji sprawa księgozbioru inż. Józefa Tuleji. Miasto podjęło pertraktacje z inżynierem, w pewnym momencie zdawało się nawet, że dojdzie do finalizacji umowy, ale — stało się inaczej.

Rok temu, jako bibliofil otrzymałem miesięcznik znanej księgarni lwowskiej „Mól Książkowy". Na czele numeru wydrukowano tam artykuł pt. „O pewnym nieznanym zbiorze lwowskim". Artykuł kończy się zdaniem: „O ile mi wiadomo, nosi się inż. Tuleja z zamiarem ofiarowania swego zbioru miastu, które zobowiązałoby się (zachowując charakter i cel biblioteki) nadal rozwijać i powiększać jego zbiór". Ten egzemplarz „Mola Książkowego" rozesłany został specjalnie wszystkim 603 Zarządom miejskim w Polsce i wszystkim poważniejszym instytucjom w przekonaniu, że w całej Polsce ktoś, bodaj jedno miasto, bodaj jedna instytucja sprawą się zainteresują. Ale rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. Nikt, dosłownie nikt, nie był ciekaw dowiedzieć się o tej bibliotece bliższych szczegółów, nikt nie zwrócił się do inż. Tuleji z zapytaniem, na jakich warunkach odstąpiłby swój księgozbiór. Niewiarygodne, ale jednak prawdziwe.

Gdyby to wszystko przydarzyło się komu innemu, dawno już zrezygnowałby z poszukiwań i po prostu sprzedałby wszystkie książki. Nabywca znalazłby się na pewno. Tak zrobiłby jednak tylko ten, kto traktuje książkę wyłącznie jako pewien produkt, a na to w żadnym wypadku nie może się zdobyć inż. Tuleja, dla którego książka stała się alfą i omegą życia, a myśl stworzenia wielkiej biblioteki publicznej celem całej działalności od lat 33. Po 33-letnim nagromadzeniu 120.000 tomów nie jest łatwą rzeczą dla miłośnika książki widzieć, że cały jego dobytek ulegnie parcelacji, że zamiast biblioteki w wielkim stylu, a pod pewnym nawet względem unikatu, pójdą w świat przez księgarnię pojedyncze tomy, które w rozsprzedaży indywidualnej przestaną być tym, czym są dziś jako jeden wspólny i wielki, z myślą pewną skolekcjonowany, księgozbiór.

Zanim przejdę do wniosków, kilka słów o inż. Tuleji i jego dziele. Świetnie się zapowiadający chemik, propagator modnego przed wojną (na papierze) hasła uprzemysłowienia Galicji, autor licznych prac naukowych, m. in. o racjonalnym wykorzystaniu nieodpadków (działo to się przed Hitlerem, ale u nas sprawa ta poszła w zapomnienie), porzucił inż. Tuleja funkcję urzędnika skarbu do kontroli gorzelni, by w 1905 r. założyć pierwszy we Lwowie, a bodaj i pierwszy na terenie Polski antykwariat naukowy. Od razu też, gdy bez żadnych prawie środków materialnych przystąpił do handlu antykwarskiego w zrozumieniu naukowym, postanowił, że nie będzie to „czyste chleboróbstwo" ale droga do zebrania odpowiedniej ilości książek dla stworzenia wielkiej publicznej biblioteki, poświęconej głównie wiedzy stosowanej. Prowadząc spartańskie życie, jak niegdyś twórca Ossolineum, i pracując po 18 godzin na dobę, zdołał inż. Tuleja plan swój zrealizować.

Ogromną zaletą biblioteki inż. Tulei jest specjalny system katalogowania. Katalog rzeczowy, który teraz dopiero wprowadzają u nas większe biblioteki, a który w wielu bibliotekach po dziś dzień właściwie nie istnieje, tu został doprowadzony do prawdziwej doskonałości. Każda książka figuruje w katalogu specjalnego działu, a działów i poddziałów jest około tysiąca. Daje to najlepsze pojęcie o różnorodności księgozbioru i świadczy zarazem dobitnie o benedyktyńskiej pracowitości inżyniera, który każdy przez siebie nabyty tom poznał, zanim go własnoręcznie w odpowiedniej grupie umieścił. Oczywiście, że istnieje też katalog inwentarzowy i dzięki temu można w ciągu kilku sekund każdą książkę odnaleźć. Katalog rzeczowy to pewnego rodzaju bibliografia danego przedmiotu. Podczas gdy bowiem w innych bibliotekach czytelnik zamawia na ślepo, nie wie bowiem, czy dana książka istnieje czy nie, to studiując katalog księgozbioru inż. Tuleji czytelnik dowiaduje się zarazem, jakie dzieła dotyczące danego problemu zostały wydane i w bibliotece się znajdują. Dla osób pracujących naukowo taki katalog jest nieocenioną pomocą. Dodajmy, że w omawianej bibliotece znajduje się mnóstwo broszur i artykułów, o których bodaj że już zapomniano. Dla jednych będzie to „śmiecie", ale dla innych naukowców tego rodzaju materiał od zagłady ocalony byłby czymś, co „z nieba" na warsztat naukowy samo spada, bo się odnalezienia tej pracy nikt już nie spodziewał, wzgl. o jej istnieniu nie wiedział.

Jest jeszcze jedna specyficzna zaleta księgozbioru inż. Tuleji i w tej dziedzinie nikt jeszcze nie doszedł do takiej doskonałości, nawet założyciele nowych bibliotek publicznych w Ameryce. Oto inż. Tuleja grupuje książki według formatów, aby nie marnować zbędnej przestrzeni, zaś celem konserwowania książek układa je nie stojąco. ale leżąco. W ten sposób lepiej się konserwują, o ile nie są często w użyciu, jak to ma miejsce z nimi od szeregu lat. Książki spoczywają nie w szafach, lecz — i to jest oryginalne — w półkach. Każda półka jest ponumerowana. Każda przeznaczona jest na książki o pewnym formacie z dokładnością centymetra, półki stoją na sobie, tworząc w ten sposób „szafę". System ten ma jeszcze ten plus, że gdy trzeba książki przenosić do innego lokalu, wystarczy ułożyć półki na wozie i transport odbywa się bez szkody dla książki i bez kłopotów dla bibliotekarza, który dostaje całość w stanie niepomieszanym. Problem przenoszenia książek przy tym systemie półek w ogóle nie istnieje. Cały księgozbiór, obejmujący około 8 wagonów kolejowych, mógłby być w ciągu jednego dnia załadowany, a w ciągu następnego w nowym miejscu ułożony i już uporządkowany. Napisy na półkach wskazują bowiem, jak je układać, przy zachowaniu ważności katalogu porządkowego.

Jeżeli chodzi o stronę praktyczną oryginalnego systemu bibliotekarskiego inż. Tuleji, to jest on tak prosty i zarazem celowy, że gdyby fachowcy go poznali, napewno przyswoiliby go sobie, bo uzyskaliby w ten sposób w swoich bibliotekach ogromne oszczędności miejsca, ułatwienia przy magazynowaniu książki i prosty sposób prowadzenia biblioteki, jako instytucji, która ma nie tylko dostarczać zamówionych książek, ale ułatwiać też wynajdowanie książek, o których istnieniu dany naukowiec nie wie.

Cóż się dzieje teraz z księgozbiorem inż. Tuleji?

— Przechowywany jest w jednej z kamienic przy ul. Kuszewicza.

Co się z tymi książkami stanie?

— Nie wiem. Inż. Tuleja nie jest już młodym człowiekiem. Marzeniem jego jest powierzyć książki albo miastu, albo specjalnie utworzonej fundacji. Trzebaby więc znaleźć kilku ludzi, którzy mieliby szlachetną ambicję uwiecznienia swego imienia i złączenia go na zawsze z wielką biblioteką publiczną. Tym musi się jednak ktoś zająć, bo inż. Tuleja nie mógłby dziś na nowo rozpocząć zabiegów, które w ciągu tylu lat żadnego nie wydały rezultatu.

A czy jest możliwe, by te książki przepadły dla naukowców?

— Owszem, jeżeli i tym razem ani miasto się nie odezwie, ani osoby prywatne, przyjdzie dzień, kiedy 120.000 książek rozdrapie się na makulaturę, na pakowanie masła i surowiec dla fabryki papieru. W tej dziedzinie Lwów ma „piękną" tradycję. Już nie jeden raz szły ze Lwowa arcydzieła literatury na szmelc. M. in. przed laty sprzedano na makulaturę we Lwowie sporą ilość słowników Lindego, tego Lindego, który jest prawdziwym pomnikiem języka polskiego i jednym z najcenniejszych skarbów polskiej myśli naukowej.

Jeżeli kiedyś we Lwowie po barbarzyńsku potraktowano Lindego, jeżeli niedawno w podobny sposób obrócono we Lwowie na makulaturę tysiące cennych książek, by nie dopuścić do obniżenia ich ceny (potępiła to niedawno „Wola i Czyn" w rubryce: „Na światło dzienne"), to trudno być specjalnym optymistą w sprawie zbiorów inż. Tuleji.

Ostatnią szansą — to tylko słaba moja wiara, że na artykuł ten zwrócą uwagę te czynniki, które powołane są do obrony polskich interesów kulturalnych i że sprawą tą zainteresuje się, ale tym razem naprawdę i szczerze, opinia publiczna. Oby z tej wiary mojej zrodził się Czyn!

Unikajmy nowego skandalu kulturalnego! Nie pozbywajmy się wielkiego księgozbioru!

Leopoliensis.

KRONIKA LEGIONOWO-PEOWIACKA

Związek Legionistów

Zarząd Okręgu Zw. L. P. Lwów

„Naród a Państwo" — zagadnienie to było przedmiotem dyskusji w klubie dyskusyjnym w dniu 15 bm. w lokalu Zarządu Okręgu Zw. Leg. Pol.

Nader zajmujący blisko godzinny referat na ten temat wygłosił inż. Dyr. Wandycz przedstawiając stosunek Państwa do Narodu na szerokim tle historycznym-prawnym i filozoficznym.

W dyskusji wzięli udział pp. poseł dr Wojciechowski, dyrektor dr Chan, sędzia Boczar, p. Kapuściński i przew. mec. Dwernicki.

Z powodu braku miejsca podamy szczegółowe sprawozdanie w najbliższym numerze naszego pisma.

Zebranie to zaszczycił swą obecnością prof. dr Kazimierz Bartel.

W dniu 17 bm. odbyło się posiedzenie Zarządu Okręgu Związku Legionistów Polskich, na które przybył d-ca O. K. VI gen. Langner celem zapoznania się z członkami Zarządu i pracami Okręgu.

Na wstępie przewodniczący prezes poseł dr. Br. Wojciechowski powitał w serdecznych słowach P. Generała jako najstarszego rangą oficera legionowego i wypróbowanego przyjaciela Związku Legionistów.

Dłuższą dyskusję wywołała sprawa budowy pomnika Marszałka Piłsudskiego, uczczenia pamięci Wodza Narodu przez miasto, które było kolebką ruchu niepodległościowego. Jak wiadomo zostały już zebrane znaczne fundusze przez ogół społeczeństwa, rozpisano konkursy, które dały już pewne wyniki jednak nic pozytywnego nie zrobiono dotychczas. Inicjatywa Związku Legionistów ma na celu przyśpieszenie budowy pomnika. Wybrana w tym celu Komisja podejmie interwencję u kompetentnych czynników.

—o—

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1·50 zł. — Półrocznie 3·— zł. — Rocznie 6·— zł. Cena ogłoszeń: cała strona 500 zł., pół strony 300 zł. ćwierć strony 150 zł., za wiersz milimetrowy jednej szpalty 25 gr., w tekście o 50% drożej.

Wydawca: Zarząd Okręgu Związku Legionistów Pol. we Lwowie. Redaguje: Komitet. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Bogdanowicz

Drukarnia: „Związkowe Zakłady Graficzne", Spółdzielnia z odpow. udział., Lwów, ul. Piekarska 18 — Telefon Nr. 290-05.